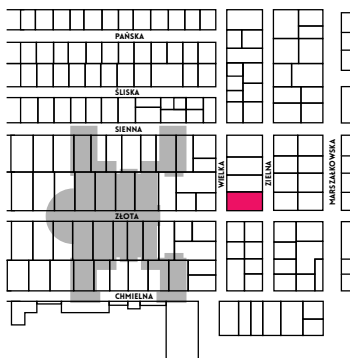




ZIELNA 6



Maria Kuligowska

Antoni Pankracy Łaguna, mój dziadek, kupił ten dom w 1912 roku. Kamienica miała wówczas cztery piętra, podobnie jak większość wokół. Dziadek podjął decyzję o nadbudowie, powstały dodatkowe dwa piętra i dom zaczął górować nad odcinkiem Zielnej między Chmielną i Złotą. Od pozostałych budynków różnił się też jaśniejszą barwą.

W 1932 roku wprowadziliśmy się do mieszkania numer 9, na piątym piętrze. Rodzice przywieźli mnie na Zielną, gdy miałam cztery miesiące. Wcześniej mieszkaliśmy na Ochocie, przy ulicy Mochneckiego. Tam przyszłam na świat, ojciec razem z akuszerką przyjął mnie w naszym mieszkaniu. Był ginekologiem położnikiem. Pracował w prywatnym pogotowiu położniczym. Jeździł do porodów z panią Kurpiewską, akuszerką bardzo zaprzyjaźnioną z naszą rodziną. Wiele lat później poszłam w jego ślady, zostałam lekarzem pediatrą i również jeździłam z pogotowiem.

Przed domem przy Zielnej 6 znajdował się postój dorożek, a także stacja benzynowa, czyli rodzaj niewielkiej pompy. Była zupełnie nieuciążliwa, samochodów jeździło wówczas niewiele. Bramę zamykały drewniane wrota.

Maria Kuligowska urodziła się w 1932 roku w Warszawie. Przy Zielnej 6 mieszkała od 1932 do 1944. Jest lekarzem. Pracę zawodową rozpoczęła w 1956 roku i nadal przyjmuje pacjentów. Ma dwie specjalizacje: lekarza pediatry oraz neurologa dziecięcego.

Po prawej stronie kilka stopni prowadziło do skromnej stróżówki, w której mieszkał dozorca Henryk Karwacki. Ożenił się z naszą gospożą Helcią, mieli dwoje dzieci. Podwórko było nieduże, wyasfaltowane, nie rosło na nim żadne drzewo, stał tylko trzepak. Lubiłam je jednak, przed wybuchem powstania dużo się tam działo. Zawsze ktoś coś sprzedawał, przychodzili muzykanci. Lubiłam czytać na balkonie naszej jadalni i obserwować, co się dzieje na podwórku.

Na parterze od ulicy działał sklep spożywczy pana Motyła i pani Motyłowej. Panowała tam pełna smutku atmosfera, bowiem syn właścicieli Edzio zaginął podczas okupacji. Wyszedł z domu i nie wrócił. Rodzice rozpaczali, ale nigdy go nie odnaleźli.

Na piętra prowadziły dwie klatki schodowe. Frontowa, efektowna, o szerokich schodach z białego marmuru, i kuchenna – drewniana. Tę kuchenną poznałam dobrze podczas okupacji, gdy zbiegaliśmy do piwnicy w czasie sowieckich nalotów. Na co dzień jednak nie korzystaliśmy ze schodów, lecz z windy. Nieduża, wykończona forniem, miała składane siedzisko, by ktoś zmęczony mógł odpocząć.

Nasze mieszkanie miało około stu trzydziestu metrów i dla mnie – dziecka – stanowiło cały świat. Przy drzwiach wejściowych wisiała ciężka kotara, chyba miała chronić przed przeciągami. Na końcu długiego korytarza wisiała druga, podobna, za nią było przejście do łazienki i toalety. Podłogę na całej długości wyłożono czerwonym chodnikiem. Pierwsze drzwi po prawej stronie prowadziły do gabinetu ojca, pełnego przeszklonych szaf z książkami. Tata zgromadził pokaźną bibliotekę, miał dwa tysiące tomów. Zbierał cenne wydania, dużo pieniędzy zostawiał w antykwiariatach przy Świętokrzyskiej. W gabinecie stało wielkie biurko, fotel z wyrzeźbionymi głowami lwów na poręczach, ciemnozielona skórzana kanapa, pamiętająca jeszcze XIX wiek. Tata często czytał mi na głos, pamiętam „Krzyżaków” i „Trylogię”. Dopiero po latach zorientowałam się, że cenzurował Sienkiewicza, omijając najbardziej drastyczne opisy.

W jadalni był duży, rozkładany stół, ogromny kredens i pomocnik, w którym przechowywano serwis na dwa-



Maria Kuligowska w salonie mieszkania przy Zielnej 6, około 1940 roku

dzieńca cztery osoby, zdobiony kobaltem i złoceniami, kupiony z okazji moich chrzcin. Gdy podczas powstania bomba spadła tuż przed naszą bramą, pomocnik otworzył się, wszystko się wysypało i potłukło. W jadalni stał jeszcze wysoki zegar, który tata nakręcał raz w tygodniu, w niedzielę, oraz radiola, nowoczesne urządzenie łączące radio i gramofon. Kuchnię powiększała antresola, na której trzymano między innymi balię i tarę, zdejmowane, gdy przychodziła praczka. Pranie odbywało się w kuchni, w całym domu pachniało wówczas mydłem.

Zachowało się zdjęcie salonu, który rodzice urządzili w stylu Ludwika XVI. Widać na nim marmurową figurę, ozdobne tapety. Podczas Bożego Narodzenia w salonie stała choinka. Kolacja wigilijna była w jadalni, co roku nie mogłam się doczekać, kiedy się już skończy i przejdziemy wreszcie do salonu.

Pamiętam kilka sklepów w pobliżu, przede wszystkim Wedla, na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej, z ruchomym neonem. Napis „E. Wedel” rozwijał się powoli, na moment zatrzymywał, a po chwili wszystkie litery spadały na dół. Pamiętam ekspedientkę, która pytała, jak mam na imię. Gdy mówiłam: Maryla, dostawałam

małą czekoladkę w kształcie litery „M”. Była zapakowana w paperek z napisem „most”. Na tych czekoladkach można się było uczyć składać proste wyrazy. Pamiętam też sklep Franboli, na rogu Marszałkowskiej i Złotej, a w nim marcepanowe owoce i jarzyny, znakomitą cukiernię Gajewskiego przy Chmielnej 47A i owocarnię przy Marszałkowskiej. Wszystkie smakołyki zniknęły w czasie okupacji. Zaczęliśmy wtedy jeść zupełnie inne słodycze. Mama słodziła fasolową pastę, dodawała zapach migdałowy i lepiała kulki, które obtaczała w kakao. Wyglądały bardzo elegancko.

Moje szczęśliwe dzieciństwo przerwał wybuch wojny. Ojciec odwiózł nas do Konstancina, do domu krewnych, i tam się pożegnaliśmy. Był oficerem rezerwy, 2 września zgłosił się do punktu mobilizacyjnego. Zostałyśmy same, z mamą, babcią i ciotką Zosią. Stara willa „Leonówka”, otoczona dużym parkiem, mogła stanowić doskonałą scenografię kryminałów Agathy Christie. Po tygodniu jednak wróciliśmy na Zielną. Tata również pojawił się w Warszawie dość szybko, nie odnalazł swojego oddziału, a widząc kompletny chaos, postanowił wrócić. Później zobaczył nazwiska swoich kolegów na liście katyńskiej.

Na zdjęciu obok, od prawej:
Zielna 4, Zielna 6 i fragment domu
pod numerem 8, na rogu Złotej.
Zdjęcie z 1942 roku. APW/Referat
Gabarytów

Poniżej to samo miejsce
w 1946 roku. APW/ Biuro
Odbudowy Stolicy





Podczas wrześniowych bombardowań nie schodziliśmy do piwnicy, tylko na parter. Najwięcej pożarów wybuchło pod koniec września. Zielna wyglądała wówczas jak wóz ognia. W październiku widziałam wkraczających Niemców, wielki oddział idący od Ogrodu Saskiego. Wystrojeni, wyczyszczeni...

Znacznie poważniejsze zniszczenia przyniosło Zielnej powstanie. W naszą kamienicę, choć była najwyższa na tym odcinku, żadna bomba nie uderzyła. Jedna spadła 5 sierpnia na ulicę tuż przed bramą. Przebiegałyśmy wówczas z mamą przez podwórko. To było piekło – ogień, kurz, dym. Zaraz potem druga bomba uderzyła naprzeciwko, w czteropiętrowy dom przy Zielnej 5. Moje dzieciństwo skończyło się definitywnie. Od tego dnia już prawie nie opuszczałyśmy piwnic. Wykute otwory prowadziły z jednej do drugiej, przez całą długość ulicy. Taty znowu z nami nie było. Wyszedł, by jako lekarz nieść pomoc, i nie mógł już wrócić, został odcięty w północnej części miasta. Nie wiedziałyśmy, co się z nim dzieje.

Przed oczami mam jeszcze jeden widok z tamtych dni: polska flaga na budynku PAST-y i niemieccy jeńcy prowadzeni Zielną po zdobyciu tego gmachu.

Później była kapitulacja Warszawy i Niemcy wszystkich nas wyrzucili. Piechotą, z plecakami, szłyśmy z mamą, ciocią Zosią i babcią do Pruszkowa. Potem dwa dni jazdy odkrytymi wagonami na miechowską wieś. Gospodarze z Charsznicy wyjechali po nas furmankami, bardzo byliśmy im wdzięczni. Z ojcem odnaleźliśmy się dwa tygodnie później, w Kielcach. Gdy wróciliśmy do Warszawy, nasz dom, choć w dużym stopniu wypalony, jednak stał. Rozebrano go w 1946 roku. Placu nie odzyskaliśmy do dziś.

Maria Kuligowska z mamą Emilią Łaguną, z domu Żochowską, i nianią. W tle zabudowania Dworca Wiedeńskiego. Zdjęcie u góry wykonano w 1932 roku, poniżej – w 1934



Spacery z mamą, 1936 rok.

Po lewej: na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerolimskich (w tle widoczna willa Henryka Marconiego, przy Marszałkowskiej 101), po prawej: w Alejach Jerolimskich



Marysia w Ogrodzie Pomologicznym i jej ojciec Jan Łaguna w Alejach Jerolimskich, 1934 rok